



Glen Duncan - Ostatni wilkołak. Fragment

Fahrenheit Crew

NÓW

NIECH SIĘ STANIE

Rozdział 1

— To potwierdzone — oznajmił Harley. — Dwie noce temu zabili Berlinera. Jesteś ostatni.

Zapadła cisza.

— Przykro mi — dodał po chwili.

Było to więc wczoraj wieczorem. Znajdowaliśmy się w bibliotece jego domu, przy Earl's Court. On, sztywno pochylony, stał pomiędzy kamiennym paleniskiem kominka a kanapą w kolorze byczej krwi, ja zaś siedziałem w wykuszu okna, trzymając szklanę czterdziestopięcioletniej whisky Macallan oraz camela z filtrem, i spoglądałem na ciemny, zasypywany śniegiem Londyn. Pokój pachniał mandarynkami, skórą i płonącymi sosnowymi kłodami. Mimo upływu czterdziestu ośmiu godzin nadal byłem ociążały z powodu Klątwy. Wilk znika najpóźniej z nadgarstków i ramion. Niezależnie od tego, co właśnie usłyszałem, przyszło mi do głowy, że Madeline może mi później zrobić masaż — ciepły olejek jaśminowy i dłonie o barwie kwiatów magnolii, z długimi paznokciami, dłonie, których nie kocham i których nie pokocham nigdy.

— Co postanowisz? — spytał Harley.

Upiłem łyk, a gdy whisky mościła się w mojej klatce piersiowej, pomyślałem przelotnie o białych nogach członków klanu Macallan, odzianych w kilty, grzęznących w torfowisku. „To potwierdzone. Jesteś ostatni. Przykro mi”. Wiedziałem, co ma mi do powiedzenia. A teraz, kiedy to się stało, co dalej? Lekki ontologiczny zawrót głowy. Astronauta jak u Kubricka, z odciętą pępownią, samotnie wirujący ku nieskończoności... W pewnej chwili każdego zawodzi wyobraźnia. Odpowiedź powinna brzmieć: „Nie ma sensu o tym myśleć”. Najwyraźniej jednak nie.

— Marlowe?

— Dla ciebie ten pokój jest martwy — stwierdziłem. — Ale na całym świecie są bibliofile, którzy na jego widok rozplakaliby się z radości.

Nie było w tym krzty przesady. Zbiór Harleya jest wart miliony, ale książki nie mają już dla niego wielkiego znaczenia, bo dał sobie spokój z czytaniem. Jeśli przeżyje kolejnych dziesięć lat, osiągnie następny etap — powrotu do niego. Nieczytanie początkowo wydaje się oznaką najwyższej dojrzałości. Jednak, jak wszystkie takie szczyty, jest on fałszywy. To ludzka przypadłość. Wiedziałem to już niezliczoną ilość razy. W ciągu dwustu lat życia wszystko widzi się niezliczoną ilość razy.

— Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co to oznacza dla ciebie — przyznał.

— Ja też nie.

— Potrzebujemy planu.

Milczałem. Pozwoliłem ciszy wypełnić się przeciwieństwem planowania. Harley zapalił gauloise'a i dolał nam drżącą ręką, obecnie pokrytą siateczką fioletowych żył i plamami wątrobowymi. W wieku siedemdziesięciu lat zachował długawe, przerzedzone szare włosy i gęste, poplamione nikotyną wąsy, które wyglądają, jakby były nawoskowane, ale nie są. Były czasy, gdy jego młodzi mężczyźni nazywali go Buffalo Billem. Teraz jego młodzi faceci znają Buffalo Billa tylko jako seryjnego mordercę z Milczenia owiec. W okresach psychicznej zapaści opiera się na lasce z kościaną gałką, choć lekarz powiedział mu, że rujnuje jego kręgosłup.

— Berliner — odezwałem się. — Zabił go Grainer?

— Nie. Jego kalifornijski protegowany, Ellis.

— Grainer oszczędza się przed najważniejszym wydarzeniem. Przyjdzie po mnie osobiście.

Harley usiadł na kanapie i wbił wzrok w podłogę. Wiem, co go przeraża: jeśli umrę pierwszy, to pomiędzy nim a jego świadomością nie będzie już zbawczego surrealizmu. Fakt: Jake Marlowe jest potworem. Fakt: zabija i pożera ludzi. Fakt: czyni to z niego, Harleya, współsprawcę. Ze mną — żywym, chodzącym i rozmawiającym, i raz w miesiącu zmieniającym postać — żyje jak w dekadencckim śnie. „A przy okazji, czy wspominałem, że mój najlepszy przyjaciel jest wilkołakiem?” Moja śmierć zmusi go do brutalnego przebudzenia. „Pomogłem Marlowe'owi bezkarnie popełnić morderstwo”. Pewnie się zabije albo raz na zawsze popadnie w obłęd. Jego lewy górny siekacz jest ze złota, to stomatologiczny anachronizm, który i tak wskazuje na częściowe szaleństwo.

— Przy następnej pełni — potwierdził. — Reszcie Gonu kazano się wycofać. To impreza Grainera. Wiesz, jaki on jest.

W istocie. Eric Grainer to gruba ryba Gonu. Wszyscy ważniejsi w hierarchii członkowie MOKFO (Międzynarodowej Organizacji Kontroli nad Fenomenami Okultystycznymi) dostają pieniądze za swoje umiejętności. Grainer umie tropić i zabijać mój rodzaj. Mój rodzaj. Z którego — przez zabójców z MOKFO i to, że w ciągu ostatnich stu lat nie pojawiło się ani jedno dziecko wyjące do księżyca — jestem, jak się okazuje, ostatni. Pomyślałem o Berlinerze, który miał na imię (Bóg nie żyje, ale ironia ma się świetnie) Wolfgang. Wyobraziłem sobie jego ostatnie chwile: trzaskający pod nim lód, oświetlony blaskiem księżyca pysk i pokryte wilgocią futro, moment, w którym jego oczy wypełniły się mieszaniną niedowierzania, strachu, smutku i ulgi — potem biel i ostateczny błysk srebra.

— Co postanowisz? — powtórzył Harley.

Jest wilk — Wolf — tylko gangu nie ma. Wisielczy humor. Wyjrzałem przez okno. Śnieg padał z nieustępliwością starotestamentowej plagi. Na Earl's Court Road chwiali się i ślizgali przechodnie; w tej wirującej, anielskiej świeżości zimna czuli się przez chwilę, jakby wciąż byli dziećmi, zanim dopadał ich bezsens tego złudzenia. Dwie noce temu zjadłem czterdziestotrzyletniego doradcę inwestycyjnego. Miałem fazę na tych, których nikt nie chce. Najwyraźniej była to moja ostatnia faza.

— Nic — powiedziałem.

— Musisz zniknąć z Londynu.

- Po co?
- Nie będziemy tak rozmawiać.
- Już czas.
- Jeszcze nie.
- Harley...
- Masz obowiązek żyć, tak samo jak wszyscy.
- Tylko że ja nie jestem taki jak wszyscy.
- Nieważne. Żyj. I nie wyjeżdżaj mi z tymi poetyckimi pierdołami o tym, że jesteś zmęczony. To bzdura. Kiepski scenariusz.
- To nie jest bzdura — zaprzeczyłem. — Jestem zmęczony.
- Za długo już chodzisz po tym świecie, jesteś rozdarty przez historię, za wiele w tobie wspomnień, za dużo bezwartościowych treści — wiem, już mi to mówiłeś. Nie wierzę ci. W żadnym razie się nie poddawaj. Kochasz życie, bo tylko ono istnieje. Bóg nie istnieje, a to Jego jedyne Przykazanie. Obiecuj mi.
- Już gdy Harley przekazał mi wieść, uczciwa część mnie pomyślała: musisz o tym opowiedzieć — historię nie do opowiedzenia. Zastanawiałeś się, jak długo to odwlekać. Okazuje się, że sto sześćdziesiąt siedem lat. Trochę zbyt długo, żeby dziewczyna na ciebie czekała.
- Jake! Obiecuj mi.
- Co takiego?
- Obiecuj mi, że nie będziesz tu siedział jak warzywo i czekał, aż Grainer cię znajdzie i zabije.
- Kiedy zastanawiałem się, jak będzie wyglądać ta chwila, wyobrażałem sobie czystą ulgę. Teraz ten moment nadszedł, a wraz z nim ulga, ale nie była ona czysta. Mały, brudny ognik osobowości zadrżał w proteście. Nie żeby moja osobowość była taka jak kiedyś. Obecnie zasługuje na smutny uśmiech, jak pulsowanie śladowej żądy w lędźwiach starca.
- Zastrzelili go, prawda? — spytałem. — Herr Wolfganga?
- Harley zaciągnął się z ponurym wyrazem twarzy, a potem wypuścił dym nosem i zdusił gauloise'a w obsydianowej popielniczce.
- Nie, nie zastrzelili go — odparł. — Ellis odciął mu głowę.

Wszystkie zmiany paradygmatu były odpowiedzią na amoralne pragnienie zmian. Zwycięstwo Obamy w wyborach prezydenckich tym właśnie było, tak jak w swoim czasie film o Oświeceniści. Bóg i diabeł nie mają tu nic do rzeczy. Pokażcie nam, że świat jest inny, niż sądziliśmy, a część z nas będzie się cieszyć. Nic nie jest od tego wolne. Wyrok śmierci na samego siebie wywołuje szaleńcze, małe alleluja, a mój i tak był już znacznie odroczone. Przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat tylko udawałem. Jak długo żyją wilkołaki? O to spytała ostatnio Madeline. Według MOKFO około czterystu lat. Nie wiem, skąd ta wiedza. Naturalnie, każdy stawia sobie wyzwania — sanskryt, Kant, rachunek różniczkowy, tai chi — ale to tylko częściowo rozwiązuje kwestię Czasu. Poważniejszy problem, Byt, cały czas rośnie. (Wampirzy, co nie jest niespodzianką, mają te swoje okresy katatonii na życzenie). Wypróbowałem już wszelkie możliwości: hedonizm, ascetyzm, spontaniczność, refleksyjność, wszystko: od pożalowania godnego Sokratesa po szczęśliwą świnię. Mój mechanizm się zatarł, zabrakło mi paliwa. Wciąż mam uczucia, ale mam ich już dość — a to kolejna rzecz, której też mam dość. Ja po prostu... po prostu nie chcę już więcej życia.

Harley przeszedł od lęku do nagłej melancholii, ale ja dalej bujałem w obłokach, częściowo poddając się otępieniu, częściowo akceptacji rodem z zen, częściowo po prostu nie mogąc się skoncentrować. „Nie możesz tak po prostu tego ignorować — powtarzał. — Nie możesz z obojętnością przewrócić się na drugi bok”. Przez chwilę odpowiadałem łagodnie w stylu „dlaczego nie?” i „owszem, mogę”, ale tak się zdenerwowałem — zaczął wymachiwać swoją laską z kościaną główką — że zacząłem się bać o jego serce i zmieniłem taktykę. „Po prostu pozwól mi to przetrwać — powiedziałem mu. — Po prostu pozwól mi pomyśleć. Po prostu pozwól mi się położyć, jak planowałem i za co płacę nawet teraz, gdy rozmawiamy”. To była prawda (Madeline czekała po drugiej stronie miasta w małym, luksusowym hotelu, gdzie noc kosztowała trzysta sześćdziesiąt sześć funtów), ale dla Harleya nie byłaby to przyjemna zmiana tematu: operacja prostaty, którą przeszedł trzy miesiące temu, sprawiła, że jego libido zmalało, a londyńscy chłopcy do wynajęcia stracili szczodrego patrona. W każdym razie skłoniło mnie to do wyjścia. Uściskał mnie, łzawo pijany nalegał, abym wziął jego wełnianą czapkę, i wymógł na mnie obietnicę, że zadzwonię przed upływem doby, po czym — jak wciąż powtarzał — te wszystkie żalose, hamletowskie wymoczki będą musiały się odpięprzyć.

Gdy wyszedłem na ulicę, nadal padał śnieg. System kierowania ruchem kołowym zupełnie zgłupiał, stacja metra Earl's Court była zamknięta. Przez chwilę stałem, przyzwyczajając się do przeszywającej niewinności powietrza. Nie znałem Berlinera, ale czyż nie był on jednym z rodu? Dwa lata temu miał fuksa w Black Forest, przyleciał do Stanów i przepadł gdzieś na Alasce. Gdyby został w dziczy, może nadal by żył. (To określenie dziczy — wzbudzało skojarzenia z jakimś tajemniczym zwierzęciem, sprawiało, że po skórze przebiegały jakby widmowe, zimne palce; góry niczym odlane z czarnego szkła, płaty śniegu i żądne krwi wycie rozlegające się w lodowatym powietrzu...) Jednak dom przyciąga. Cofa cię, żeby ci oświadczyć, że do niego nie pasujesz. Wolfganga dorwali dwadzieścia mil od Berlina. Ellis odciął mu głowę. Śmierć kogoś ukochanego brutalnie wszystko wyjaskrawia: chmury, rogi ulic, twarze, reklamy telewizyjne. Mimo to potrafisz ją znieść, ponieważ inni dzielają twój żal. Zagłada całego gatunku sprawia, że nie zostaje nikt inny. Jesteś sam pośród dziwnie wyraźnych szczegółów.

Wysunąłem język, żeby posmakować zimnych płatków śniegu. Po raz pierwszy odczułem ciężar, jaki świat może złożyć na moich barkach w czasie, który mi pozostał — całą masę detali, ich ciągły, bezrozumny napór. Znów nie mam siły się nad tym zastanawiać. To będzie moja tortura: wszystko to, o czym nie byłem w stanie myśleć, skupi się na tym, żeby mnie do tego myślenia zmusić.

Zapaliłem camela i zastanowiłem się. Rzeczy praktyczne: dostać się piechotą na Gloucester Road. Linią okrężną do Farringdon. Dziesięć minut szybkiego marszu do Zetter, gdzie będzie czekać Madeline, niech Bóg błogosławi jej sprzedajne wdzięki. Naciągnąłem wełnianą czapkę na uszy i ruszyłem przed siebie.

Harley powiedział: „Grainer chce potwora, nie człowieka. Masz czas”. Nie wątpiłem, że miał rację. Do następnej pełni zostało dwadzieścia siedem dni, a dzięki zamieszaniu, jakie Harlus wywołał, MOKFO nadal szukało mnie w Paryżu. Ta świadomość pokrzepiła mnie na kilka minut pomimo narastającego odczucia — to paranoja, sam to sobie robisz — że jestem śledzony.

To paranoja, znów zacząłem sobie powtarzać, ale ta mantra straciła już swoją magię. Na plecach, zamiast ciągłego chłodu, czułem ciepłe przypuszczenie: inwigilacja. Śnieg i budynki nagle stopiły się ze sobą: znaleźli cię. Już się zaczęło.

Adrenalina jest przeciwieństwem nudy. Adrenalina zalewa bez wyjątku nie tylko moje ludzkie tkanki, ale także wilcze pozostałości, ten zwierzęcy osad, który nie do końca poddaje się transformacji. Ulotne wilcze energie i ich ludzkie odpowiedniki skręcają się i miotają w mojej głowie, ramionach, nadgarstkach, kolanach. W pęcherzu czuję ucisk, jakbym za szybko zjechał w dół ze szczytu diabelskiego koła. Biorąc pod uwagę śnieg po kolana, absurdalność tej myśli nie skłoniła mnie do przyspieszenia kroku. Harley, zanim wyszedłem, próbował mi wcisnąć rewolwer Smith&Wesson, ale wyśmiałem ten pomysł. „Nie zachowuj się jak stara babcia”. Wyobraziłem go sobie teraz, jak siedzi, spoglądając w monitory kamer przemysłowych, i mówi: „Tak, Harley to stara babcia. Mam nadzieję, Marlowe, że jesteś zadowolony, ty pieprzony idioto”.

Wyrzuciłem niedopałek papierosa i wcisnąłem dłoń w kieszenie płaszcza. Trzeba ostrzec Harleya. Jeśli Gon mnie śledził, to wiedział, gdzie właśnie byłem. Dom przy Earl’s Court nie był zapisany na Harlsa (został idealnie zakamuflowany jako elitarny punkt sprzedaży rzadkich książek) i dotychczas stanowił bezpieczne schronienie. Jednak jeśli MOKFO to odkryło, to Harley — przez niemal pięćdziesiąt lat mój podwójny agent, który wyciągał mnie z kłopotów, bliska mi osoba, mój przyjaciel — mógł już nie żyć.

A jeśli... A jeśli... Tego właśnie, oprócz całego zamieszania z comiesięcznymi przemianami, tej całej bezcennej męki Bycia Wilkołakiem, tego właśnie nie znoszę — niekończącej się logistyki. Jest powód, dla którego ludzie wyciągają kopyta około osiemdziesiątki — to prozaiczne zmęczenie. Wygląda jak niewydolność jakiegoś organu albo rak, albo zawał, ale tak naprawdę jest to po prostu niezdolność do dalszej walki z przekleństwem przyziemnego ciągu przyczynowo-skutkowego. Jeśli zaprosimy Sheilę, to nie możemy zaprosić Rona. Jeśli mam ciasteczka, to będzie przekąska do herbaty. Można znieść tylko ograniczoną liczbę zależności jeśli-to. Demencja stanowi zdroworozsądkowy dowód na to, że po prostu nie da się tego wytrzymać na dłuższą metę.

Twarz miałem rozgrzaną i wrażliwą na bodźce. W ciszy padającego śniegu pojawiają się dźwięki rodem ze studia nagrań: ktoś otwiera puszkę piwa, czknięcie, trzask zamykanej torebki. Po drugiej stronie ulicy trzech pijanych młodych mężczyzn okładało się chaotycznie. Owinięty kocem taksówkarz stał obok otwartego samochodu i skarżył się do telefonu. Przy klubie Flamingo dwóch jedzących hot dogi bramkarzy w futrzanych czapkach przespacerowało się wzdłuż kolejki dygoczących klientów.

„Nie ma to jak młoda krew i ciało. Czuje się beczelność nadziei”. Te myśli są echem uaktywnienia się Klątwy, pojawiają się jak mimowolne erekcje u nastolatków. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem na końcu kolejki. Z buddyjskim spokojem zarejestrowałem tętniącą soczystość trzech skąpo odzianych dziewczyn przede mną. Wyjąłem zabezpieczoną komórkę i wybrałem numer Harleya. Odebrał po trzech sygnałach.

— Ktoś mnie śledzi — oznajmiłem. — Musisz wyjechać z domu. To tymczasowe rozwiązanie.

Spodziewana zwłoka. Pił, trzymając w ręce aparat ustawiony na wibracje. Mogłem go sobie wyobrazić: pomarszczonego, z trudem unoszącego się z kanapy, z naelektryzowanymi włosami,

macającego dookoła w poszukiwaniu gauloise'ów.

— Harley? Słuchasz mnie? Dom nie jest bezpieczny. Zabieraj się stamtąd i ukryj gdzieś.

— Jesteś pewien?

— Jestem. Nie marnuj czasu.

— Ale chodzi o to, że oni nie mają prawa wiedzieć, że jesteś tutaj. Z całą pewnością nie. Sam widziałem aktualizacje Intela. Do chuja pana napisałem większość z nich. Jake?

W padającym śniegu nie dałoby się iść po moich śladach. Jeżeli mnie widział przez ulicę, to będzie się musiał dostać do drzwi. Na chodniku po drugiej stronie stał ciemnowłosy facet z kunsztownie przyszywoną bródką, typ modela z wybiegu, ubrany w trencz, pozornie zaabsorbowany SMS-em. Jeśli to był on, to albo był idiotą, albo chciał, żebym go zauważył. Nie było bardziej oczywistego kandydata.

— Jake?

— No. Dobra, Harley, nie pierdol. Możesz się gdzieś zaszyć?

Słyszałem, jak ciężko oddychał, widziałem w wyobraźni postarzałe, przygarbione ciało w lnianym garniturze. Nagle do niego dotarło, co się stanie, jeśli jego przykrywką w MOKFO prysnie. Siedemdziesiątka to za dużo, żeby zacząć uciekać. W tym szumie połączenia telefonicznego wyczuwałem, jak to sobie wyobrażał: te pokoje hotelowe, łapówki, pseudonimy, śmierć zaufania. To nie jest życie dla starego człowieka.

— Cóż, chyba mogę pojechać do Fundatorów, zakładając, że nikt mnie nie zastrzeli po drodze na Child's Street.

Fundatorzy, inaczej Fundacja, to satyrycznie ekskluzywny klub Harleya, pełen kamerdynerów w typie idealnego służącego Jeevesa, najpiękniejszych escort girls, masażystów, bezcennych antyków i cudów technologii służących rozrywce, z tarocistką na etacie oraz szefem kuchni mającym trzy gwiazdki w przewodniku Michelina. Członkiem klubu mógł zostać tylko człowiek zamożny, ale anonimowy; sława przyciągała uwagę, a to było miejsce przeznaczone dla bogaczy, którzy chcieli dyskretnie folgować swoim słabościom. Według Harleya o istnieniu klubu wiedziało niespełna sto osób.

— Najpierw sprawdzę, jak to wygląda w MOKFO i...

— Daj mi słowo, że wezmiesz broń i wyjdiesz — powiedziałem.

Wiedział, że mam rację, ale po prostu nie chciał tego zrobić. Nie teraz, kiedy był tak kompletnie nieprzygotowany. Wyobraziłem go sobie, jak rozgląda się po pokoju. Te wszystkie książki. Tyle rzeczy kończyło się bez ostrzeżenia.

— W porządku — zgodził się. — Kurwa.

— Zadzwon, gdy będziesz już w klubie.

Jednocześnie przyszło mi do głowy, żeby, skoro już jestem w tej okolicy, wstąpić do Flamingo. Żaden Gończy nie zaryzykuje ataku w miejscu tak uczęszczanym. Z zewnątrz fasada klubu z ciemnej cegły nie miała żadnych oznaczeń, a metalowe drzwi mogłyby równie dobrze prowadzić do skarbcza

bankowego. Małego, neonowego, różowego flaminga nad nimi rozpoznaliby tylko znawcy. Gdyby to był film, wszedłbym do środka i wymknął się przez okno w toalecie albo poznał dziewczynę i zaczął trudny romans, który w jakiś sposób uratowałby moje życie kosztem jej życia. W rzeczywistości wszedłbym do środka, spędził cztery godziny, obserwowany przez własnego przysięgłego zabójcę, w dodatku nie wiedząc, kto nim jest, po czym opuściłbym klub.

Zrezygnowałem ze stania w kolejce. Ciepły strumień świadomości podążył za mną. Jedno spojrzenie na pięknią w trenczu wykazało, że schował telefon do kieszeni i ruszył w moją stronę, ale jakoś nie byłem przekonany, że to on. Eter mówił o większym wyrafinowaniu. Spojrzałem na zegarek: 00.16. Ostatni pociąg z Gloucester Road odjedzie najpóźniej pół godziny po północy. Nawet w tym tempie powinienem zdążyć. Jeśli nie, zatrzymam się w Cavendish i odpuszczę sobie Madeline, chociaż biorąc pod uwagę, że dałem jej carte blanche na room service w Zetter, najprawdopodobniej do rana będę bankrutem.

To — powiecie — nie były myśli kogoś wyrugowanego z historii, były zbyt obfite w treść, pełne pustki. No dobra. Ale co innego wiedzieć, że od śmierci dzieli cię dwadzieścia siedem dni, a co innego mieć świadomość, że możesz się z nią zaznajomić łąka chwila. Być zamordowanym tutaj, w ludzkiej postaci, byłoby wulgarne, pochopne, oraz — chociaż nie istnieje taka rzecz jak sprawiedliwość — nie w porządku. Poza tym człowiekiem, który mnie śledził, nie mógł być Grainer. Tak jak powiedział Harley, jego wysokość chciał wilka, nie łąka, a myśl, że miałby mnie zabić ktoś mniej znaczący niż najważniejsza osoba Gonu, była obrzydliwa. Że wspomnę o moim jedynym pamiątkarskim obowiązku, wciąż niespełnionym: jeśli zostanę zamordowany tu i teraz, to kto opowie niemożliwą do opowiedzenia historię? „Opisana cała choroba twego życia, z wyjątkiem tej ostatniej rany zadanej sercu, jej okrucieństwa i wyrachowania. Bóg odszedł, tak jak Sens, a jednak estetyczny fałsz wciąż potrafi zawstydzić”.

Gdy zatrzymałem się pod latarnią, aby zapalić kolejnego camela, cynik we mnie stwierdził, że wszystko to było bliskie prawdy. Chyba że była to tylko wymyślna racjonalizacja nagłego i desperackiego pragnienia, aby nie umierać. W tej właśnie chwili pocisk wystrzelony z broni wyposażonej w tłumik uderzył w betonowy słup latarni trzy cale nad moją głową.